

HISTORIA USZYTA NA PODSZEWCIE ZŁA

MACIEJ SIEMBIEDA GOŁOBORZE

MACIEJ
SIEMBIEDA
GOŁOBORZE

Copyright © by Maciej Siembieda

Projekt okładki

Magda Kuc

Grafiki na okładce

© tohamina/freepik

© Magda Kuc

Fotografia autora

© Dominik Werner | north.film

Redaktor inicjujący

Paweł Goźliński

Redaktorka prowadząca

Dominika Ziemba

Redakcja

Paweł Goźliński

Korekta

Natalia Hipnarowicz-Kostyrka, Edyta Chrzanowska

Łamanie

Maria Król

Opieka promocyjna

Monika Burchart

Koordynatorka produkcji

Helena Piecuch

Przygotowanie do druku

Maria Gromek

ISBN 978-83-8367-788-0

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie 1, Kraków 2025

Druk: Abedik

CZĘŚĆ 1

STYCZEŃ 1863

Rozdział 1

Śnieg był tak wysoki, że uciekinier brnął przez niego, jakby zanurzony po pas szedł pod prąd w rwącej rzece.

Pogoń była tuż za nim.

Jeszcze parę minut temu słyszał tylko gwizdy kozaków. Teraz dobiegały go świst nahajek i parskanie koni zmuszanych do biegu przez zasypane pole.

Dwaj jeźdźcy sotni oskrzydłili go, jak to mieli w zwyczaju, a wąsaty wachmistrz jadący środkiem spiął konia ostrogami, dopadł mężczyznę i wychylając się z siodła jak na popisach, zdzielił go w kark tylcem szabli. Uciekinier jęknął, rozłożył ramiona niczym skrzydła wiatraka i runął na brzuch, po czym zniknął w śniegu.

Ocknął się na leśnej polanie przywiązany za ręce i nogi do pni młodych jodeł. Leżał na plecach, ale przód serdaka i portek miał poszarpany i uwalany krwią. Musieli ciągnąć go na powrozie za koniem aż tu, gdzie śniegu było mniej, za to ostrych gałęzi co niemiara.

– Kak nazywajesz sie? – spytał wąsaty wachmistrz ni to po polsku, ni to po rosyjsku. Widać nie od wczoraj służył

w Królestwie Polskim pod rządami cara i podłapał trochę tutejszej mowy.

Jeniec milczał.

– Z kakich ty buntowuszcików? Gdzie ukrywają się teraz twoi ludzi? – Podoficer zadawał kolejne pytania, a kiedy i one pozostały bez odpowiedzi, powoli wyjął z kieszeni fajkę, nabił ją, wyciągnął z ogniska płonący patyk i podpalił tytoń.

– Poczekamy sobie – powiedział do więźnia. – Mnie ciepło, a tobie?

Kozacy ryknęli śmiechem.

Człowiek przywiązany do drzew czuł, jak mróz paraliżuje mu ciało. Nadchodziła senność, z której już się nie obudzi. Był gotowy na śmierć. Zanim dołączył do powstańców, poszedł do spowiedzi i oczyścił duszę, ofiarowując ją Bogu, o ile taka będzie Jego wola. Ksiądz pobłogosławił go znakiem krzyża, rozgrzeszając z zabijania, bo piąte przykazanie nie dotyczy najeźdźców i katów ojczyzny.

Wachmistrz trącił go czubkiem buta. Ocknął się.

– Budiesz mówić?

Nie odpowiedział. Modlił się w duchu, prosił o koniec.

– Nie budiesz. – Wachmistrz westchnął i skinął na przybocznego, który sięgnął do sakwy przy siodle. Podał mu żelazne obcęgi do wyciągania hufnali z końskich kopyt.

Wachmistrz przyklęknął, podważył bagnetem zęby związanego i chwycił obcęgami język. Wyciągnął go z ust jeńca.

– Nie chcesz mówić, to on ci na nic – stwierdził. Wolną ręką wyciągnął zza cholewy brzytwę i przymierzał się do precyzyjnego cięcia, gdy rozległ się tętent koni. Na polankę wjechała jedna trzecia sotni, idąca w ślad za podjazdem. Wśród jeźdźców

w papachach i długich szynelach z kapturami znajdował się polski wieśniak. Na chudej szkapie, zdyszanej nie mniej niż on, ale ubrany w grube sukienne spodnie, porządne buty i krótki kożuszek. Przyodziewek zdarty z poległego powstańca – domyślił się człowiek rozciągnięty między drzewami. Moskale dawali przywilej rabowania zabitych szlachciców chłopom, którzy wysługiwali się wojsku. Donosili, gdzie ukrywają się buntownicy, albo sami zwlekali rannych powstańców z posłań i dostarczali do cyrkułu, aby wydać ich Roskim za parę rubli.

Wachmistrz kazał mu zejść z siodła, ujął pod pachę jak jakiegoś dziedzica i podprowadził do leżącego.

– Znajesz jego? – spytał.

Wieśniak skinął głową.

– Znam, panie oficerze. To Kończak Tomasz z mojej wsi. Z partii Langiewiczza.

Rosjanin poklepał go po ramieniu.

– Można być mądrym Paliakiem? Można – oświadczył, a kozacy ponownie zawtórowali mu śmiechem.

Wachmistrz poprawił futrzaną czapę i uważnie rozejrzał się po drzewach, ale wyraźnie się rozczarował. Jodły są do niczego. Mają wiotkie gałęzie, które nijak nie uniosą ciężaru porządnie powieszzonego człowieka.

Zrezygnowany machnął ręką.

Już po rosyjsku rozkazał przekroczyć jeńca na brzuch, wypłacić pięćdziesiąt batów na plecy i odrąbać szablą prawą dłoń.

– Aaa... – przypomniał sobie. – Włóżcie też, rebiata, bagniet do ognia i przypalcie mu oczy. Jeśli wcześniej nie zdechnie, puśćcie wolno. Niech idzie, skąd przyszedł, i opowie, jak carska armia karze tych, co podnoszą na nią rękę.

– Zabić by go, panie oficerze – odpowiedział chłop w kozusku, przestraszony wizją, że Kończak wyliże się i poszuka zemsty. Ale wachmistrz tylko pogroził mu palcem.

– To taki z ciebia haroszyj sąsiad? Wstydz się, Cebrzyna. – Udał oburzenie, biorąc się pod boki, a trzecia salwa śmiechu kozaków spłoszyła z jodeł kruki, które podzielały opinię, że jeńca lepiej było uśmiercić i zostawić pod ich kuratelą.

Tamtego wieczoru matka Tomasza Kończaka zrozumiała Marię, która stała na Golgocie, patrząc na mękę i konanie syna.

Gdy w okaleczonym ciele ostrożnie uniesionym z sań rozpoznała swojego pierworodnego, upadła na kolana. Przepełniała ją skowyt, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

Patrzyła na plecy poorane nahajami, rdzawą szmatę owijającą kikut i straszny strup tam, gdzie oczy. Zwisały z niego sople krwi rozwodnionej łzami, otoczone czernią spalonej skóry.

– Jeszcze dycha – powiedział człowiek z Grabina, który znalazł Tomasza na krawędzi lasu. – Pchnijcie kogoś po księdza, może zdąży.

Rannego ułożono na łóżku pod obrazem anioła przeprowadzającego dwoje wylęknionych dzieci przez wąski mostek nad rwącym strumieniem. Tu też, lada chwila, miało się dokonać przejście na drugi brzeg.

Sąsiadki, które zleciały się jak stado wróbli, gdy tylko pod chałupę Kończaków podjechały sanie z pochodniami, zdjęły z Tomasza sukmanę, obmyły go, przewiązały wypalone oczy pasem wydartym z koszuli i owinęły rękę kawałkami płótna. Poszarpały je tak, aby poluzować nitki, przez co tkanina łatwiej wchłaniała wydzielinę z rany. Miały doświadczenie

w opatrywaniu braci, mężów i synów. W Grabinie spornych spraw nigdy nie załatwiano słowami.

Tomasz jeszcze żył.

Jakby czekał na księdza, który chwilę później oznajmił dźwiękiem sygnaturki, że przybył z Jezusem Chrystusem. Wszyscy w izbie uklękli, żegnając się znakiem krzyża. Proboszcz odmówił, co trzeba, po czym namaścił umierającego świętymi olejami, które miały mu dodać sił w godzinie śmierci. Otworzył Tomaszowi usta i wsunął do nich hostię.

Gdy odstąpił od łóżka, kobiety zapaliły gromnicę i włożyły ją w dłonie konającego, związane drewnianym różańcem. To był koniec. Ksiądz uczynił nad Tomaszem znak krzyża, bąknął kilka słów o chwalebnej śmierci za ojczyznę, pochylił się, żeby nie rozbić głowy o framugę, i wyszedł do izby kuchennej.

Zakładał baranicę na powrotną podróż saniami, gdy raptem poczuł lodowaty powiew i zapach jak z grobowej krypty.

W otwartych wrotach chałupy stanęła Pężyрка – zachorka i krewna Kończaków. Nikt w Grabinie nie wiedział, ile liczyła sobie lat. Najstarsi we wsi twierdzili, że jak byli dziećmi, wiedźma już łąziła po świecie, podpierając się kosturem, bo miała koślawy krzyż i chodziła zgięta wpół.

Z siwymi włosami rozwianymi przez zamieć i w kilku warstwach łachmanów starucha wyglądała jak żywcem wyjęta z klechdy o łysogórskich czarownicach. Opowiadano je po chałupach, ale skóra cierpła od samego słuchania. Wiedźmy gromadziły się na szczycie góry bez drzew, odprawiały gusa, tańczyły z diabłami i warzyły magiczne mikstury.

Choć same wyły wniebogłosy i wypełniały noce przerażliwym chichotem, nie znosiły dźwięków. Zwłaszcza piania

koguta, które zwiastowało świt – koniec sabatu. A potem kościelnych dzwonów, gdy na Łysej Górze pobudowano klasztor. Tego było im za wiele. Rozpierzchły się, przybierając postaci wiejskich szeptuch.

Pężyрка bez wątpienia była jedną z nich.

Ludzie gadali, że nadal oddaje cześć pogańskim bóstwom, bo nikt nigdy, jak Grabin długi i szeroki, nie widział jej w kościele. Że rzuca uroki i zna się na chorobach. Umie je i leczyć, ale i sprowadzać.

Nikt, nawet Kończaki, nie miał odwagi spojrzeć Pężyrcę prosto w oczy. Jeśli była prawdziwą czarownicą, która mogła nasmarować się magiczną maścią, by latać na miotle, miała w tęczówkach odbicie głowy kozła. Szatana.

Minęła księdza, jakby go tu wcale nie było, i weszła do izby, w której leżał Tomasz. Płomyk gromnicy zadrżał, a przytłumiony lament bab ucichł jak ucięty nożem. Wszystkie spojrzenia zwróciły się w jej stronę.

Pężyрка podeszła do łóżka, wyciągnęła dłoń i otworzyła usta leżącego. Palcami wykrzywionymi jak szpony drapieżnego ptaka oderwała hostię, która przyschła do języka.

– Co wujenka robi, na rany Chrystusa?! – zawyla Kończakowa, ale wiedźma nie zwróciła na nią uwagi. Uniosła biały płatek do góry i cisnęła za siebie.

– To wiatyk – powiedziała. – Ostatnia komunia. Dawana na drogę. A un – wskazała Tomasza ruchem głowy – nigdzie się nie wybiera.

Rozdział 2

Walenty Cebrzyna tupnął parę razy, otrzepując buty ze śniegu, i pchnął drzwi karczmy.

Niską izbę zbudowaną z jodłowych bali wypełniał ostry swąd palonej machorki pomieszany z duszącym zapachem kapusty z grochem i kwaśną wonią piwa. Cebrzyna, który pokonał z półtorej wiorsty w rześkim powietrzu, miał wrażenie, że w smrodzie i dymie można by zawiesić siekiere.

Potrzebował dłuższej chwili, aby się zorientować, gdzie siedzą kuzyni, z którymi zgadał się na dziś do karczmy, żeby uradzić, co trzeba. Przetarł kułakiem oczy, które zaczęły go szczypać, gdy tylko wszedł, i wypatrzył krewniaków w rogu za piecem. Tam, gdzie najcieplej i najdalej od ludzkich uszu.

Cebrzyni byli klanem bandytów i koniokradów.

Nocami uprowadzali konie z wiosek na południe od Grabin i przemycali je przez granicę z zaboru ruskiego do austriackiego. Nie daj Boże wejść im w drogę. Każdy za cholewą buta nosił nóż i każdy wiedział, jak zrobić z niego użytek.

Na stołach w karczmie widać było przeważnie gliniane dzbany z piwem, ale Cebrzyny zamówili parę kwaterek wódki. Stać ich było. Za ruble wypłacone za powstańców przekazanych na odwach mogli sobie pozwolić nawet na arak.

Walenty usiadł na wolnym kawałku ławy i przyjął podany mu kieliszek z grubego szkła. Wypił jednym haustem.

– Krzepka – skomentował.

Reszta pokiwała głowami.

– Co rzeknieta? – spytał.

Zebrani wymienili niepewne spojrzenia.

– Po mojemu – powiedział jeden z kuzynów – to sprawa diabła.

– Głupiś – rzucił Walenty, choć bez przekonania.

– Tak? – obruszył się inny. – Stryjenka była u Kończaków, jak księdza do Tomasza wołali. Zaklina się na Boga, że proboszcz opatrzył go olejami, kazał ręce związać różańcem i włożyć w nie gromnice. A ksiądz zna się na śmierci. Mało to ludzi na tamten świat prowadził?

– Kończak był martwy – rzekł dobitnie ten od diabła. – Stara wiedźma go wskrzesiła. Baby to na krucyfiks zaświadczyły. Komunie mu z gęby wyjena i rzuciła na ziemię! Widział kto takie rzeczy? Toż to ciało Chrystusa! Uczyniła tak, żeby Zły mógł mieć dostęp i zrobić swoją robotę. Ledwo starucha przeklęta hostie zbrukała, umarli Tomasz rękami poruszył, aż z gromnicy воск się wylał i różaniec zlepił tak, żeby go już odmawiać nie szło. Baby z wrzaskiem z chałupy Kończaków uciekły.

Przy stole zapadła cisza, że słychać było tylko, jak paru co bardziej zabobonnych Cebrzynów przełyka ślinę.

– Gdzie on tera? – spytał brat ojca Walentego.

– Dziedzic Hordyński go zabrał i medyka sprowadził z Kielc. Tomasz we dworze leży i podobnie z dnia na dzień sił nabiera. A co wy, stryjk, powiecie?

Stachu Cebrzyna, niewysoki, ale żylasty chłop, niegdyś słynny zabijaka, wzruszył ramionami.

– Sraj na niego – poradził.

– Kończaki pomsty poszukajo – dodał ktoś z drugiej strony stołu.

– Kogo się boita? – skarcił ich Stachu. – Ich wiency, ale my bitniejsze. Na tych, co się Cebrzynom stawali, trawa rośnie. A niechby i Kończaki chciały z nami wojować, to za nami władza, bo my władzy z buntownikami pomogli. Ruskie by Kończaków na Sybir wywiezły co do jednego. Takie głupie to one nie są, żeby się na nas porywać. – Podniósł i wychylił kielich wódki nalany aż po brzegi, nie uroniwszy ani kropli. – Po bożemu to mścić się może ino Tomasz na Walentym – przypomniał. – Jeden na jednego. Taki obyczaj jest w Grabinie od wieków. Donieść do władz to hańba. Zaczaić się za stodołą i ukradkiem łeb roztrzaskać siekierą niehonorowo. Napaść w paru i zatłuc, wstyd przed ludźmi. Ale wyzwąć na walkę w imię zemsty to święta rzecz. Dwaj ludzie, dwa noże. Na śmierć i życie. To grabińskie prawo. Każdy uszanuje. Mało to razy tak było? Na walkę patrzyła cała wieś, a jak było po wszystkim i trup został na środku drogi, nikt nic nie widział i nikt przed obcymi parą z gęby nie puścił.

Cebrzyny pokiwali głowami.

– Tyle że Tomasz ślepy. – Stachu rozłożył ramiona. – I nic by mu z takiej bitki nie przyszło. Szybki koniec chyba. Dobrze

mówię, dziadku? – zwrócił się do najstarszego z klanu, zajmującego miejsce u szczytu stołu i słuchającego narady z półprzymkniętymi powiekami.

Starzec zmarszczył czoło i tak już pokryte głębokimi bruzdami.

– Ślepy nie ślepy, Kończak Walentemu nie popuści – powiedział, patrząc przed siebie, jakby chciał dojrzeć przyszłość. – Walenty wydał go Ruskim, a one obcięły mu rękę i wypaliły oczy. Ma święte prawo się mścić i pomsty nie zaniecha, bo to byłby grzech i ujma. A że ślepy, poszuka inkszego sposobu i naród w Grabinie go zrozumie. Jak sie ino wyliże, nie bedziesz znał dnia ani godziny – powiedział do Walentego, który lekko pobladł.

Wszyscy przy stole na niego patrzyli.

– Przez to – ciągnął stary – najlepi by było Tomasza ubić.

– U dziedzica na pokojach go nie dostaniemy – uznał któryś z Cebrzynów.

– Prawda. Ale nie trza sie spieszyć. Pomsta tego nie lubi. Szykujta sie na Tomasza powoli. Pamiętajta, że z Kończakami Pężyрка, a to szatański pomiot. Umie krowom mleko odjąć i kłatwe rzucić. Jej sie bójta, nie ślepego Tomasza.

– Co radzicie, dziadku? – spytał Walenty.

Stary zastanowił się przez dłuższą chwilę.

– Jedźta do Wierzbnika. Znajdźta tam jakiego kanceliste, co napisze pismo do cyrkułu. Mo w nim stać, co Walenty i cała nasza rodzina przy powstaniu pomaga ponów szlachciców chwytać. Ruskie to wiedzom. Prosić ich trza, coby Kończakom Czarciom Polanke odebrały i dały nam, Cebrzynom. Za zasługi.

Wszyscy przy stole wzdrygnęli się, jakby ich śmierć powąchała.

– Na co nam ona? – zaprotestował któryś. – To przeklęta ziemia.

Starzec skinął głową.

– Ale to z ni Kończaki majom swojom siłę – powiedział. – Pężyрка tam zioła zbiera, a przy pełni miesiąca łązi z diabłami i czarownicami konferować. Odbierzta im Czarciom Polanke, a moc na nas, Cebrzynów, przejdzie. Wtedy sie Tomasza zabije.

Dionizy Hordyński cmoknął na klacz, która wlokła się coraz wolniej, bo trudno jej było wyciągać kopyta z błota. Mrozy puściły, zbocza Gór Świętokrzyskich były jeszcze białe, ale na polach u ich stóp już pachniało wiosną. Jeździec otworzył usta i wdychał woń ziemi uwolnionej od zmarzliny oraz zapach jodeł, których mroczne królestwo rozciągało się paręnaście kroków dalej, tuż za miedzą.

Klacz też smakowało to powietrze. Poruszała chrapami i parskała ochoczo. Całą zimę spędziła w stajni, bo nie zaprzęgano jej do sanek. Szykowana była pod wierzch, dla panicza, ale ten nie wrócił z powstania.

W bitwie pod Świętym Krzyżem młody Hordyński wraz ze swoim towarzyszem broni Tomaszem Kończakiem z Grabina oderwali się od oddziału Langiewicza. Otoczyli ich Rosjanie. Ukryci w lesie na zboczu Łysej Góry naoczni świadkowie widzieli, jak jeden z kozaków odpiął od kulbaki lancę długą na ponad trzy metry i ujął ją w prawą dłoń. Nahajką utrzymaną w lewej smagnął konia i wymierzył broń prosto w plecy Hordyńskiego. Ruszył z impetem. Młody dziedzic nie widział go, bronił się szablą przed dwoma innymi kozakami. Grot lancy był o paręnaście metrów od celu, gdy Tomasz Kończak zobaczył,

co się święci, i nie zważając na to, że jego też atakują, błyskawicznie ściągnął zdobyczny karabin przewieszony przez ramię. Wymierzył w ułamku sekundy. Dosięgnął pędzącego kozaka jednym strzałem.

Koń stanął dęba. Jeździec nadal zaciskał dłoń na lancy, choć już nie żył. Jego futrzana czapa poszybowała w powietrzu z połową głowy zabitego, ostrze opadło i odbiło się od zmarzniętej ziemi, a drzewce pękło jak suchy patyk. Ciało przez jakiś czas trzymało się w siodle i strzemionach, ale koń zrzucił je w panice. Runęło w sam środek koła, które wyznaczyła na śniegu tryskająca krew.

Tomasz wykorzystał moment, kiedy napierający na niego kozacy stanęli jak wryci. Rzucił się, brnąc przez śnieg, w stronę pól. Zanim tamci się zorientowali, był już kilkadziesiąt metrów dalej. Wachmistrz rozkazał swoim ludziom wrócić tam, gdzie padł kozak, i pojmać żywcem młodego szlachcica. Sam z dwójką innych ruszył za Tomaszem. Dopadli go parę minut później.

Dionizy Hordyński zatrzymał klacz. To tu wydarzyło się wszystko, co kazał powtarzać świadkom w najdrobniejszych szczegółach i co widział w wyobraźni, jakby sam walczył z kozakami. To stąd zabrali jego najstarszego syna i powlekli na Sybir.

Dziedzic zsiadł z konia, przeszedł na skraj puszczy i przystanął przed kapliczką postawioną dla jakiegoś napoleońskiego oficera, który pięćdziesiąt lat wcześniej umarł tu z ran i wyczerpania, wracając spod Moskwy. Zdjął czapkę, uczynił znak krzyża i odmówił *Pod Twoją obronę* w intencji, by jego pierworodnego nie spotkała taka sama śmierć na obczyźnie.

Pół godziny później wrócił do dworu.

Oddał klacz stajennemu, żeby ją rozsiadła i wyczyścił z błota, a sam wszedł do izby czeladnej przylegającej do kuchni. Łóżko, na którym od trzech miesięcy leżał Tomasz Kończak, było puste.

Hordyński się zaniepokoił, ale w tym samym momencie w oknie wyglądającym na ogród dostrzegł białą zjawę w długiej koszuli, z której rękawów wystawała tylko lewa dłoń. Podtrzymywany przez dwóch parobków okaleczony powstaniec próbował stawiać kroki. Sam wciąż jeszcze nie ustałby na nogach, bo chwiał się i zataczał, jakby w ogóle nie miał w nich władzy.

Dziedzic wyszedł do nich.

– Dochtór kazali zacząć prowadzić onego, wielmożny panie – wyjaśnił starszy z parobków, wyraźnie zakłopotany. Jedną ręką mocniej podtrzymał Kończaka pod ramię, a drugą zdjął czapkę na znak szacunku.

– Słusznie – stwierdził Hordyński. – Czas wracać do żywych, Tomaszu.

– Tylko się jako tako chodzić nauczę, pójde nazad do wsi, wielmożny panie – przyrzekł.

– Nie w tym rzecz. Ciężarem tu nie jesteś. Mojemu synowi życie uratowałaś. Masz we mnie dłużnika.

Tomasz pochylił głowę przepasaną płótnem zakrywającym oczy.

– W bitwie każdy by tak uczynił – odparł.

– Ale nie każdy jednym strzałem trafiłby kozaka w galopie prosto w łeb.

„Masz oko”, chciał dodać z podziwem, ale w porę ugryzł się w język.

– Nad paniczem Pan Bóg czuwał – uznał Tomasz.

Hordyński w milczeniu pokiwał głową.

– Idźcie z nim do krzaków agrestu – wskazał dłonią – a potem przyprowadzić mi go do dworu. Tylko powoli, żeby się nie nadwyrężył.

Parobcy potwierdzili, a kiedy jakiś czas później weszli z Tomaszem do sieni, dziedzic kazał posadzić go na ławie w pokoju myśliwskim, a im samym czekać na dworze.

– Czas postanowić, co dalej z tobą będzie – powiedział, gdy zostali sami.

– Jak zem rzekł – odparł Tomasz. – Do Grabina pójde. Dość wielmożnego pana dobroci zaznałem.

– I co zamierujesz tam robić?

Ślepiec wzruszył ramionami.

– Pewnie zdechnąć jak pies pod płotem. Matki strawy nie tknę, bo ona sama głoduje. Myślałem, coby do Wierzbnika jechać. Na żebry. Tam naród więcej groszem śmierdzi. Może się dobrzy ludzie zlitują nad kaleką.

– A zwyczajnie zarabiać byś nie chciał?

– Jak, wielmożny panie? – spytał Tomasz. – Bez ręki i oczów?

– Mój syn twierdził, że jesteś wybitnie muzykalny. Ponoć dobrze grasz na skrzypcach.

– Grałem. Ale teraz nie idzie. – Uniósł w górę kikut ręki.

W tym samym momencie Hordyński ujął jego lewą dłoń i włożył w nią kawałek gładko wyheblowanego drewna. Były do niego przymocowane skórzane paski ze sprzączkami.

– Co to? – zapytał ślepiec.

Dotyk nie przyniósł mu odpowiedzi.

– Proteza – odrzekł dziedzic. – Doktor ją wystrugał dla ciebie. Możesz przypiąć drewnianą dłoń do obciętego nadgarstka i umieścić w niej smyczek. A palcami lewej wodzić po strunach.

Tomasz zastanowił się przez chwilę.

– Mógłbym grać na weselach – powiedział ostrożnie.

– No widzisz – ucieszył się Hordyński, choć nie było to zbyt taktowne sformułowanie. – Doktor przyjedzie jutro cię obejrzeć, to zrobimy przymiarę.

NOWA POWIEŚĆ MACIEJA SIEMBIEDY

W świętokrzyskich lasach, w cieniu Łysej Góry,
obok miejsca, gdzie na Czarciem Polanie głaz przyniółt
diabła, od lat toczy się zajądła wojna.

Dwa zwaśnione rody pielęgnują nienawiść,
której nauczyli je przodkowie.

W tej wsi są ludzie z kamienia twardszego i ostrzejszego niż ten
na gołoborzu, a ich oczy płoną gniewem. Wszyscy wiedzą,
że **wojna między Kończakami a Cebrzynami jest święta,
morderstwo – honorowe, a rodzina i obowiązek
wobec niej stoją ponad prawem.**

Wyrok wymierza się tutaj osobiście.
Najlepiej nożem.

Stefan Cebrzyna nie mógł od tego uciec. Nawet jeśli
Jadźka Kończakowa była dla niego od zemsty ważniejsza.

Przysięgi złożonej ojcom trzeba dotrzymać.

**TUTAJ HONOR ZNACZY WIĘCEJ NIŻ ŻYCIE,
A ZEMSTA DZIAŁA NAWET ZZA GROBU.**

★

Maciej Siembieda w swojej najbardziej osobistej powieści
odmienia zemstę przez wszystkie przypadki.

Rozlicza się z trudną historią Gór Świętokrzyskich –
przywołuje związane z tą okolicą legendy i łączy je z historią
Polski od powstania styczniowego aż do lat 90. XX wieku.

**Tu intryga niczym z *Ojca Chrzestnego* przeplata się
z szekspirowskim dramatem.**

znak
KSIĘGARNIA

E-book dostępny na
woblink.com

Cena 54,99 zł

ISBN 978-83-8367-788-0



9 788383 677880 >